

IZABELLA

„Teraz, zrób to!”

00.00.0000

Zaczęło się od tego, że rano, po przebudzeniu, zobaczyłam swoje oczy zieleńsze niż zwykle. Ba, głęboko zielone, z jaśniejszą obwódką — a wczoraj były po prostu brązowo—nijakie. Później poszło już z górki — nie mogłam jeść, nie mogłam spać, nie mogłam malować. Wyłączyłam telefony, podstawiłam krzesło pod drzwi, położyłam się do łóżka. Leżałam, leżałam, leżałam... Leżałam, bo nie miałam ochoty wstać. Nie wiedziałam, po co miałabym wstawać. Leżałam z pewną ulgą, że wreszcie mnie to dopadło i nie muszę się niepokoić na przyszłość.

No i, tak po prawdzie, nie miałam siły, by się podnieść. Byłam sama, ale nie samotna. Tak jakby przybyło mi ciała i przybyło umysłu — przeistoczyłam się w esencję Izabeli z Izabeli. Na przemian mnie to przerażało, albo budziło szczere zadowolenie, aż nabierałam ochoty na więcej. Tyle, że zmiany następowały mniej więcej co minutę. Nie płakałam, ani nie śmiałam się. Nie miałam też pospolitych zmartwień, choć męczyła mnie świadomość, że kotce Fionie skończyło się suche żarcie, a ja naprawdę nie mam siły, by choćby zamówić je przez sieć, nie wspominając o wyjściu do sklepu. I martwiłabym się dłużej, gdyby Fiona nie zdechła parę tygodni później na raka — wtedy musiałam przyznać, że problem sam się rozwiązał. Nie spałam, ale na jawie widziałam dziwne rzeczy. Jakby przedarły się tutaj wszystkie nie wyśnione sny. Kiedyś ujrzałam swoją zmarłą babkę. Była stara, ale myślała, że jest młodsza ode mnie; w ogóle sfiksowała dokumentnie (najwyraźniej w zaświatach nic nie zmienia się na lepsze). Nosiła kuchenny fartuszek w niebieskie kwiaty i uśmiechała się do mnie — nie wiem czy bardziej ustami, czy zielonymi oczyma. Na rękach trzymała szarą Fionę.

Dawno temu genetycy wysnuli teorię, że zielone oczy idą w parze ze skłonnościami do chorób psychicznych. Dawno temu też ogłosili, że są w stanie sklonować człowieka. Rządy nie pozwoliły im jednak na to, choć głośno krzyczano o możliwości wykorzystania klonów do transplantologii. Mnie interesowało jedynie, czy można sobie wyhodować zdrowy mózg, bez pierdolców.

Oczywiście, że... NIE.

W końcu sielanka się skończyła. Ktoś gwałtownie zaczął dobijać się do drzwi, a ja oczywiście nie miałam zamiaru nawet ruszyć palcem. Hałas jednak nie milkł. W końcu dołączyły do tego różne głosy, ktoś sprawnie otwierał zamki, aż podstawione krzesło pękło pod naporem czyjegoś ciała.

— Święty Boże! Bela!

To był mój... narzeczony? Miał na imię Adam, jeździł po świecie z *National Geographic* i coś tam dla nich pisał. Wiecie, związek na odległość, mężczyzna w ciągłych rozjazdach, etc...

Rozejrzał się wokół, pociągnął nosem.

— Tu śmierdzi. Istotnie, śmierdziało.

— Nie mogę jeść, nie mogę spać, nie mogę malować.

Umył mnie, pomógł mi się ubrać i zabrał do lekarza. Nie zauważył zielonych oczu.

— Powinienem ci kupić następnego kota — powiedział przepaszającym tonem.

— I tak karma się skończyła — wzruszyłam ramionami.

Ha, nawet nie próbował mnie zabrać do psychoanalityka, tylko od razu do tego od łebków — znaczy psychiatry.

00.00.0000

Przystojniacha był z tego lekarza. Jak to mówią: „stary, ale jary”. Z początku patrzył na mnie jak na córkę, ale to chyba dlatego, że Adam też był w gabinecie. Zresztą nie wyglądałam najlepiej. Byłam zmęczona.

— I co, uśpi mnie pan doktorze? — w końcu eutanazja była zalegalizowana.

— Chciałaby pani umrzeć? — zapytał.

— Skoro nie mam nic do roboty... — Słyszałem, że pani maluje.

— Malowałam. — Teraz nie ma pani ochoty? — podrapał się po swojej krótko ostrzyżonej czuprynie.

— Nie wiem. Kiedyś wszystko wyglądało inaczej.

Uniósł brwi.

— To znaczy?

— Niekoniecznie lepiej, ale ciekawiej.

Myślałam, że pokiwa głową, ale tylko wzruszył ramionami. Co to jest, do cholery! Medycyna alternatywna?! Chciałam się już położyć, ale trudno — muszę zapytać.

— Czy to schizofrenia?

— Nie, depresja — odpowiedział i postawił na stole udoskonaloną wersję prozaca. — Witamy w lepszym świecie, Izabelo.

00.00.0000

Adam dojrzałe się poświęcił i postanowił, że na jakiś czas wprowadzi się do mnie. Wprowadzi tak na serio, to znaczy nie będzie nigdzie wyjeżdżał.

Zamiast kota kupił mi farby — poprzednich nie pozakręcałam i wyschły na wiór. Adam stwierdził, że prozac mi służy i kazał malować. Coś tam więc gluciłam na ślepo, bo nie miałam koncepcji. Przynajmniej do czasu, bo w pewnym momencie sama się znalazła, a przynajmniej tak mi się wydawało.

Lekarz zalecił spacerować. Kazał chodzić dużo, często, także w pojedynkę, ale Adam uważał to za zbyt ryzykowne. W końcu nie wiadomo, co mi odbije. Przeszło mu, kiedy psychiatra stwierdził, że jeśli nie dostanę odrobiny swobody, to zostanę wykastrowana. Ja? A niby z czego? W każdym razie Adam się przejął — nie chciał uchodzić za tego, który zawęży horyzonty swojej kobiecie. Pewnego dnia umył mi głowę: po pierwsze było przyjemnie, po drugie to podobno najlepszy sposób na depresję. Wyszuszył mi włosy i jak dumna mama wypuścił w świat. Była wiosna...

Znalazłam mistyczne miejsce do kontemplacji, wcale nie tak daleko od domu. Archaiczne, zapomniane wysypisko. Tak zapomniane, że nie było tu nawet lumpów — tylko kruki. Kruki albo gawrony, ale krakały, więc chyba jednak gawrony, bo wbrew temu, co się mówi, kruki milczą... Przeczytałam o tym w jakiejś mądrej książce całe lata temu. Zresztą już wtedy kruki były pod ochroną, więc żeby uchowało się ich tyle aż do dzisiaj? W dodatku, dlaczego wybrały taki syf?

Ptaszyska majestatycznie kołowały nad wysypiskiem śmieci, obniżając co jakiś czas lot jeśli wypatrzyły błyszczącą ciekawostkę. Wszystkie jak jeden mąż omijały przetrawione przez korozję beczki, z których ciągle unosił się potwornie śmierdzący dym. Nie trzymano w nich chyba kwasu, tylko coś znacznie bardziej żrącego...

To właśnie stało się moją koncepcją malarską.

Wpadłam w szal twórczy. Pacykowałam tak, że wkrótce skończyły mi się farby. Następne musiałam kupić już sama — Adam znowu gdzieś wyjechał ze swoim pismem.

Założę się, że od zarania dziejów każdy sklep z farbami wyglądał zawsze tak samo, czyli przyjaźnie dla malarza. Ten mój prowadziła kobieta, która mogłaby być kochanką Rafaela Santi, gdyby nie to, że on wołał chłopców. Sprzedała mi trzy komplety tub, trajkocząc bez przerwy, a to, że cieszy się widząc mnie, to, że bała się, iż coś mi się stało. Że wciąż młodo wyglądam. Jezu, jak po prozacu...

Kiedy po tygodniu przyszłam po raz drugi, nie omieszkała wtrącić, że chyba dużo pracuję, bo ciągle tu przychodzę. Rany, jak ma takie zwidy, to niech też do kogoś pójdzie!

Ja miewam zwidy. Ostatnio właśnie w witrynie sklepu dla plastyków (ktoś dba o czystość, więc można wyraźnie się przejrzeć). Przechodziłam tam jakąś potwornie okrężną trasą na moje śmietnisko, no i coś kazało mi popatrzeć na siebie. Sprawdzić, czy te zielone oczy są wciąż na miejscu. Były. A później moje odbicie, zupełnie niezależnie odwróciło się od wewnętrznej strony okna i zaczęło coś zamawiać u Rafaelowej.

Gównu z tego prozaca.

Adam wrócił i na dzień dobry zaczął mnie testować z tego, co namalowałam pod jego nieobecność. Pokazałam mu obraz.

— Miałas zrobić coś od siebie, a nie kopiować.

— Przecież to moje — zaprotestowałam. — Zrobiłam gawrony kołujące nad śmietniskiem.

Ciężko westchnął.

— Nie rób ze mnie idioty. To kopia van Gogha: „Pole ze zbożem i krukami”. W dodatku wybacz, ale nie najlepsza. Oryginał widziałem w Amsterdamie tuż przed powodzią.

Nie chciałam się klócić. Niech będzie, że jest to „Pole ze zbożem i kruki”. Ostatni obraz van Gogha. Na tym samym polu strzelił sobie w klatkę piersiową.

00.00.0000

Kiedy poczułam się lepiej poszłam do matki. Była trochę urażona, że tak długo się nie pokazywałam. Trochę, bo wiedziała, że choruję i „trochę”, bo w interaktywnej telewizji dawali

powtórkę przedwiecznego „Klanu”, a mama zamówiła ją sobie na „fuli”. Czasu wystarczało jej jeszcze tylko na spacer z psem. Ja byłam „trochę” urażona, że nie ruszyła do mnie swej osoby, żeby choćby sprawdzić czy w ogóle jeszcze oddycham.

Kiedy zrzucalam z siebie płaszcz zorientowałam się, że i ona dopiero co wróciła ze spaceru. Teraz przecierała łapy swojemu wyżłowi Keku. Pies był śliczny, bo sama go jej podarowałam: żeby nie czuła się osamotniona i miała trochę ruchu. Keku powinien nazywać się Kaka, bo cierpiał na rozstroje żołądka, jednak moja matka darzyła go wielką i niezmienną miłością.

— Siadaj — powiedziała jakby nigdy nic i włączyła telewizor. — I przynieś psu ciastka z kuchni. Leżą na kuchence.

Przyniosłam.

— Marnie wyglądasz — stwierdziła po minucie milczenia. Przysięgłabym, że patrzy tylko w ekran.

— Staram się coś z tym zrobić.

— Bierzesz jakieś tabletki?

— Tak.

— Przydałby ci się wózek. Uśmiechnęłam się pod nosem:

— Aż tak źle wyglądam?

— A czy ja cię chcę w nim usadzić? Błada jesteś, a wózek mobilizuje do pacerów.

— Jak pies? Spojrzała na mnie ostro:

— Nie obrażaj Kukiego. I nie udawaj Greka. Wiesz doskonale o czym mówię. O wózku z właściwą zawartością. Masz trzydzieści pięć lat: o dwa lata więcej niż ja, kiedy cię urodziłam... Słyszysz?

— Co? — wsłuchałam się w dialog z telenoweli.

— Ostatni dzwonek — powiedziała mama surowo. Kuki puścił bąka. Pomyślałam złośliwie, że nie służą mu ciasteczka.

— Za twoich czasów była inna medycyna. Teraz można rodzić później. Zresztą ja nie zamierzam...

— Już wyglądasz jak to „później” i bardzo cię proszę, nie wymawiaj mi wieku. Nie twierdzę, że dzieci muszą kochać swoich rodziców, ale odrobinę szacunku im się należy. Czy ty na przykład szanowałaś swojego ojca?

Nic nie odpowiedziałam. Nie chciało mi się.

— Rodzice też nie lubią swoich dzieci — ciągnęła. — Ale czy to znaczy, że mają ich traktować jak obce i nie lubiane osoby?

Milczałam nadal.

— Kochanie, z tobą w ogóle o niczym nie można porozmawiać.

Wyszłam stamtąd szybciej niż zamierzałam. Okolice, w których się wychowałam podupadły, zszarzały, rozbiły się na getto biedaków. Zamiast szklanych domów — betonowe pokraki posadzone w błocie. Kilkakrotnie namawiałam matkę, żeby się stąd wyprowadziła, ale nie chciała, bo miała blisko do szpitala, gdzie ojciec siedział w kapsule kriogenicznej i przedłużał swoje życie.

Adam nieśmiało zapytał, czy moja matka o nim wspomniała. Odpowiedziałam, że owszem i że ma wobec niego wielkie plany. Zapytał jakie. Prokreacyjne rzecz jasna. Z twoją mamusią? — zbulgotał radośnie. I jeszcze napomknął, że skoro mowa o prokreacji, to może przystąpimy do serii nieudanych prób?

Nie. Nie powinnam, wiesz — prozac i w ogóle... Prozac prozaczem, Adam Adamem.

— Wszystko w porządku?

— Adam, myślisz, że jak teraz usnę, to jutro rano się obudzę?

— Oczywiście, że się obudzisz.

— To źle czy dobrze?

— Wzięłaś pigułkę?

— To źle. Moje życie mnie nudzi. Spojrzał na mnie ponuro.

Wkrótce wyjechał z kraju i jednocześnie z mojego życia.

00.00.0000

Pani Artystka namalowała swój autoportret — dla potomnych rzecz jasna. Oto jest: gładka, płócienna cera i zagubione — uwaga! — orzechowe spojrzenie. Chciałam domalować gdzieś przy swoich nogach Fionę, ale za bardzo kochałam tę kotkę, żeby wyciągać ją nawet w ten sposób z grobu. Wieczne odpoczywanie racz jej dać Panie!

I mnie, mnie też pozwól odpocząć. Archanioł Prozac zwiastował dobre czasy, ale boję się i wątpię, bo nie nadchodzą. Chyba brak mi cierpliwości. Łykam te pigułki jak gorzkie landryny. Nie, nie przedawkuję, choć niebyt śmierć staje się coraz bardziej kuszący. Coś wzbiera we mnie i już.

Znowu się zaniedbałam; w końcu nie ma już Adama ani żadnej innej osoby, do której nie czułabym obrzydzenia. Lekarz widział nie takie jak ja. Zresztą chyba i tak mu się podobam. Zaproponował elektrowstrząsy, ale gwałtownie odmówiłam — chwała Bogu, że prawo nie pozwala mnie zgarnąć wprost z jego gabinetu do szpitala. Nawet jeśli przyjmemy, że jestem wariatką i nie mogę sama o sobie decydować, muszą pójść do mojej matki, a ona nie pozwoli zrobić mi krzywdy. Taką przynajmniej mam nadzieję mam. Słyszysz? Liczę na ciebie!

Cały szkopuł w tym, że pan Psycho, pan Pierdziel, postawił chyba złą diagnozę. Takie rzeczy się zdarzają... Wychodzi mi na to, że nie mam żadnej depresji, tylko pieprzoną schizofrenię! Nie pamiętam ludzi, którzy ponoć ze mną rozmawiali. Choćby taki Wacek: obraził się śmiertelnie, że go nie poznaję na ulicy, a podobno kiedy podchodzi i pyta „jak leci?”, to uciekam. Wszystkie swoje pretensje nagrał mi na poczcie głosowej. Odsluchiwałam w zdumieniu i z wysiłkiem przeszukałam myślowy śmietnik, ale tego cholernego Wacka nie pamiętam od pół roku! Nie kojarzę też bardziej spektakularnych wyskoków — ponoć nawiedzam Rafaelową i wypytuję o warsztat, o nowe techniki. A co ja, malować nie umiem? Szkół nie kończyłam? Rafaelowa bierze moje wariactwo za talent. Bóg z nią. Jednak czy można bywać w dwóch miejscach równocześnie? Ja podobno bywam. Czy można nienawidzić migdałów w cukrze, a potem opychać się tym świństwem na ulicy? Czy można wstawić obraz do galerii i nie pamiętać, kiedy się go zrobiło?

Niech to szlag — autentyczna, czysta schiza.

00.00.0000

Opowiedziałam mu wszystko i walnęłam pięścią w biurko:

— Proszę mi to wytłumaczyć, doktoru!

Odparł spokojnie, że mnóstwo chorób może spowodować podobne objawy, ale to co mnie się przytrafiło nazywa się depresją, on mnie z tego wyleczy, a poza tym nigdy się nie myli.

Dodałam, że źle się dzieje w królestwie prozaca.

— Jak się teraz czujesz? Spróbuj zwizualizować, tak jak obraz...

— Jakbym siedziała w kompletnej ciemności pośrodku lodowato zimnej rzeki. Bardzo chcę wyjść na któryś z jej brzegów, ale problem w tym, że żaden brzeg nie istnieje, tylko ta rzeka...

Stwierdził błyskotliwie, że jeśli bez brzegów — to nie rzeka, a co najmniej jakieś morze, a ja

bezwładnie opadłam na skórzaną kanapę. Kanapa wydała nieprzyjemny dźwięk, którym być może w innym życiu bym się przejęła.

Psychiatra usiadł obok.

— Powinnaś zgodzić się na te elektrowstrząsy

— powiedział poklepując mnie po pośladkach.

— Boję się Robercie. Podobno można połamać sobie kości... No i to boli. — Nie, wcześniej podajemy kurarę. Oczywiście malutko, taką odrobinę — jego ręka delikatnie wsunęła się pod moją bluzkę.

— Po niej nie można oddychać. Czytałam...

— Tylko przez chwilę, a wtedy będę robił „usta — usta” — pocałował mnie.

— Nie, Robercie. Jeszcze nie... Poczekaj aż zaśnie i wyszłam.

Jechałam taksówką, której kierowca trzymał na kolanach bardzo duży i bardzo nielegalny rewolwer, a mnie traktował jak dziwkę. Kiedy zerknęłam we wsteczne lustro stwierdziłam, że miał prawo — pomadkę miałam rozmazaną po całej twarzy. Niestety, w gabinetach psychiatrycznych nie ma luster.

Świtało, ale wcale nie robiło się przez to bezpieczniej. Wschodzące słońce rozpuszczało jakieś cienie, ale nie te ludzkie.

Cholernie się wystraszyłam, kiedy usłyszałam przed domem te dziwne szelesty — ktoś grzebał w kontenerach na śmieci. Mieszkańcy mojej unowocześnionej kamienicy nie należeli może do finansowej elity, ale byli średniakami, a tych już warto okradać. Chciałam zaalarmować krzykiem strażnika z parteru nim poderzną mi gardło, ale nagle przestałam się bać.

Kot — źródło całego hałasu — wylazł ze śmietnika i zaczął ocierać się o moje nogi. Schyliłam się, a wtedy wskoczył mi na rękę.

Zabrakło mi tchu.

— Fiona? — wyszeptałam przez ściśnięte gardło. Wyglądał kubek w kubek identycznie jak moja zdechła kotka.

— Tęskniłam za tobą — powiedziałam i rozplakałam się po raz pierwszy od nie wiem jak dawna.

Oczywiście wzięłam zwierzę do domu. Dokładnie obwąchało pracownię, a potem przylegające do niej mieszkanie. W końcu ułożyło się na pościeli — było u siebie.

Tak jak Fiona, kot lubił przesiadywać ze mną podczas malowania, choć niemożliwe, by nie

drażnił go zapach terpentyny. To był kocur, więc nazwałam go Fionem.

00.00.0000

Przedzierałam się przez mrówczy tłum ludzi spieszących z pracy do domu. Maszerowali skupieni i poważni, nie rozglądali się na boki — żadnych rozmów, randek, drinka po pracy. Byle szybciej do swego slivera. Wiedzieli co robią: nawet w tej dzielnicy, dzielnicy pracujących, można było dostać w łeb. Od bezrobotnego albo anarchisty, któremu te zapracowane owady wyjątkowo się nie podobały odkąd przeczytał „Kapitalizm” dziadka Marksa. Mnie było wszystko jedno... Dokuczalo mi tylko to, że zbieram przypadkowe cięgi wypchanymi teczkami w trakcie przedzierania się pod prąd do najbliższego automatu. Wyjęłam z kieszeni sztruksów chipową kartę. Gdzieś z tyłu apelowano o pieniądze dla dzieci ze slumsów, ale nigdy nie sypnęłam na nie groszem, bo były z jeszcze bardziej obcego mi świata, niż ci pracusie. Numer wystukałam szybko, wręcz niecierpliwie, żeby się nie rozmyślić.

— Mama?

— Kto mówi?

— To ja mam, Izabela — powtórzyłam głośniej. Jej telewizor znów miał podkręcony dźwięk. Słyszałam głos Kotulanki.

— Oglądam „Klan”. — Nie wiem czy w jej głosie usłyszałam nutkę pretensji, ale tak chyba mogło być. W końcu psułam jej przyjemność. — Muszę cię o coś zapytać, mam... — Więc pytaj...

Byle szybciej, bo szklany świat nie czeka.

— Czy ja mam siostrę bliźniaczkę, o której nic nie wiem?

Cisza, a potem śmiech:

— Kochanie, jedna taka jak ty w zupełności nam wystarczyła.

— Na pewno?

— Słuchaj, co to za idiotyzmy? Wiesz jak lubię ten serial.

— Mam!

Krew głośno tętniła mi w uszach.

— Jesteś w ciąży?

— Nie, skąd.

— A widzisz! Zaszłabyś w ciążę, zajęłabyś się wychowaniem. A jeśli nie dzieckiem, to może czymś innym, co? Jak długo do cholery mam niańczyć tego wyżła? Śmierdzący zwierz!

Odłożyła słuchawkę.

— Do widzenia — powiedziałam w ciszę. — Tak w ogóle to mam okres... A w dupę! — z całej siły kopnęłam w budkę.

Jakiś przechodzień popatrzył na mnie z wyraźnym zgorszeniem. Nie dziwota, na zbuntowaną nastolatkę już nie wyglądałam. Znaczący: stara społeczna. Temat dla socjologa. Izabela przez jedno „1”. Przyłożyłam czoło do chłodnej szyby. Tłum ludzi przerzedzał się, ale to była dopiero pierwsza fala. Później pojawiają się Nadgodzinowcy.

Wyszłam z telefonicznego akwarium, ale było mi bez różnicy — nadal od świata oddzielała mnie szyba.

00.00.0000

Boję się.

Boję się, bo ostatnio nie pracuję tyle ile bym chciała, i ile pracować się powinno. Jestem chora i za dużo myślę. Może kiedyś to uszlachetniało, ale w tym świecie nie ma na to miejsca. Nie ma też miejsca dla kogoś takiego jak ja. Jak my — bo powoli wychodzi na to, że jest mnie (nas?) dwie. Jednak nie mam siostry bliźniaczki. Wierzę matce, zresztą nie stać by jej było na taki numer.

Prozac, prozac, pokaż rogi... Robert upiera się, że to nie schizofrenia. OK — taka ze mnie kochanka, jak i królowa. Zresztą on jest lekarzem, ja nie. Czyżbym miała jednak sobowtóra?

00.00.0000

Nie mogę się zdecydować czy to świetny dowcip, czy rojenia wariata.

Sklonowano mnie.

Obiecywano, że nigdy do tego nie dojdzie, że nikomu ten wypadek się nie przytrafi. „Politycy kłamią.

Naukowcy kłamią” — powinny krzyżeć nagłówki. Chciałabym nie wierzyć tej małej zdzirze, ale nie mogę. Po prawdzie to trudno wyzywać mi kogoś z moją twarzą.

Co za sytuacja! Wolałabym już być schizo! Dlaczego więc jej wierzę? Bo wie w zasadzie tyle samo co i ja.

Kiedy wróciłam do domu, dozorca obrzucił mnie bardzo dziwnym spojrzeniem. Nie mogłam otworzyć furtki — jakby ktoś przy niej majstrował. „Trzeba to zgłosić” pomyślałam jeszcze. Weszłam do mieszkania, ale Fion nie czekał na mnie pod drzwiami. Przestraszyłam się nie na żarty, ale kiedy weszłam do pokoju, już siedziałam tam w fotelu z kotem na kolanach.

— Cześć — odezwałam się do siebie.

— Wiedziałam, że w końcu przyjdiesz — odpowiedziałam sobie.

— Intuicja — druga ja pokiwała głową. Byłam prawie identyczna. Prawie, bo jak się przekonałam, ja na fotelu miałam swoje stare, brązowe oczy sprzed choroby. Zamiast obecnych zielonych. I była jeszcze jedna różnica.

— Nazywasz się Izabela?

— Izabella.

— Arystokratycznie je wymawiasz... Fion, chodź do pani! — głupi kot, ani drgnął.

Wtedy ona wstała i podała mi zwierzaka.

— Poczekaj chwilę, zdejmę buty. Nogi mi puchną...

— Wiem — skinęła głową. — A imię wymawiam dobrze, pisze się je przez dwa „l”.

Moje pisało się przez jedno. Matka chciała inaczej, ale kiedy zgłaszała mnie do Urzędu dowiedziała się, że „Izabella”, brzmi zbyt po zachodniemu i Urząd nie wyraża na to zgody.

— No dobra, w dupę kopany — rzuciłam butem.

— Więc kiedy mój ojciec zdążył posunąć twoją matkę?

— Niepotrzebnie się unosisz.

Nareszcie kot zaczął jej się wrywać.

— Coś tu się musiało unieść, nie?

— Pipeta.

— Słucham?

— To sprawa pomiędzy tobą i mną, a nie twoimi rodzicami.

— Naszymi.

— Niech będzie, że naszymi — wzruszała ramionami tak samo jak ja.

— Poczekaj chwilę... Zamaszyście łyknęłam prozac.

Przyjęła to ze zrozumieniem, a potem zaczęła opowiadać.

Bzdura. Bzdura, albo operacja plastyczna. Milczała.

— A tak poza tym, Izabello, to dlaczego niby miałabym być ja? Starzy nie są nikim szczególnym. Ja też, trzeba przyznać, ani z tych wyjątkowo ładnych, ani wybitnie inteligentnych. Malarka ze mnie średnia i nawet jako wariatka się nie sprawdzam. Czemu więc miałiby to zrobić właśnie mnie?

— Może zapytasz, czemu zrobili to mnie? Spojrzałam jeszcze raz na jej brzuch pozbawiony pępka. Jezus Maria, kiedy byłam młoda chodziło się do kina, by oglądać takie rzeczy.

— I tak by to jedno sfuszerowali?

— Może chcieli zostawić jakiś znak.

— Kto?!

Wzruszyła ramionami.

— Trzydzieści pięć lat temu klonowanie było niemożliwe. Kombinowali dopiero dziecko z próbki.

— Ale ja nie mam trzydziestu pięciu lat.

— To niby ile?

— Nie wiem. Ale nie trzydzieści pięć. Nawet pięciu nie pamiętam.

— Widzisz, nie jesteś moim klonem. Jesteś zmanipulowana genetycznie.

Usiadłyśmy naprzeciwko siebie. Trudno było na nią patrzeć.

— Daj mi papierosa — poprosiłam.

— Skąd...

— Intuicja.

Zapaliłam i niemal od razu się rozkaszałam.

— Ktoś cię oczywiście ściga — powiedziałam tonem znudzonego kinomana, ale dusił mnie strach.

Izabella też zapaliła.

— Skąd — stwierdziła. — Oni mają mnie w dupie. Hej, zaczynałam lubić tę drugą siebie.

I Fion też ją polubił.

00.00.0000

Posadziłam ją przed sztalugami i podałam pędzle:

— Maluj.

Spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami.

— Nie udawaj. Wiem, że uczyłaś się u Rafaelowej. Więc pokazała mi.

Nie chciała żadnej martwej natury, nie chciała bym pozowała. Stwierdziła, że machnie coś z pamięci.

— To amatorszczyzna — burknęłam. — Prawdziwa sztuka musi naśladować naturę.

— To twoje zdanie. Dobrze. OK. W porządku.

Nagle zrobiło mi się niedobrze, musiałam pobiec do łazienki. Stałam jak ogłupiała i trzymałam się umywalki — takie silne miałam zawroty głowy. Minęły może dwie minuty i zaczęłam łapczywie chleptać kranowe — jak pies. Bolało mnie wysuszone gardło i byłam odwodniona. Widocznie depresja przenosi się z umysłu na ciało.

A moje nowe ciało właśnie siedziało w pracowni. I trzeba tam wrócić.

— Co to jest?

— Myślałam, że znasz. „Cyprysy i pole ze zbożem”, Vincent van Gogh.

— Brakuje kruków.

— Co? Tu nie ma kruków... Błado wyglądasz. Hej, czy ty nie jesteś w ciąży?

Matka ucieszyłaby się, gdyby mogła ją poznać.

— Skąd. Tylko nikomu o tym nie mów.

— O czym?

— Pięć lat temu podwiązałam sobie jajowody.

— Dlaczego? — patrzyła w obraz, nie na mnie.

— Żeby mieć spokój.

— Chcesz pomalować? — Zapytała nagle spiętym głosem.

— Nie. Pójdę się przejść.

Poszłam na śmietnik; siedziałam na jakimś pudle i nie mogłam się podnieść. Nie miałam siły, nie chciało mi się. Mijały całe godziny, a ja myślałam, że minuty. Nie łudzę się — kiedyś było inaczej. Tylko na co ja czekałam? Musiałam coś zrobić ze swoim życiem, a jeśli masz coś zrobić, to po co czekać? Dość.

Kiedy wróciłam późnym wieczorem, pokazała mi portret Fiona. Otwarłam Fionowi puszkę, a Izabella poszła do kuchni smażyć jajecznicę.

— Myślę, że jesteś tulku — powiedziałam do niej, głośno, choć patrzyłam na kota.

— Co to jest tulku?

— To z buddyźmu. Istota, która świadomie się odradza, by pomagać innym. Wiesz, co to jest buddyżm?

— Bardzo śmieszne. I dla kogo ja miałabym być to tulku?

Nagły pisk telefonu doprowadził mnie na skraj zawału. Musiała go włączyć pod moją nieobecność. Westchnęłam ciężko i podniosłam słuchawkę.

— Słucham?

Lepiej się czujesz? — to głos Roberta.

— Pytasz jako psychiatra?

Westchnął jak cierpliwy nauczyciel oczekujący na odpowiedź krnąbrnego ucznia.

— W porządku, znacznie lepiej niż ostatnio.

— Na pewno?

— Na pewno. Jakbym się narodziła na nowo.

— To dobrze, bo bałam się, że coś ci strzeli do głowy. W takich przypadkach...

— Robercie, proszę!

— OK, przepraszam. Kiedy się zobaczymy?

— Mam wizytę u ciebie, w przyszłym tygodniu.

— Myślałam o...

— Zadzwoń — odłożyłam słuchawkę.

Izabella starała się udawać, że nie podsłuchuje.

— Psychiatra i kochanek — powiedziałam.

— Niezłe zestawienie.

— Powiedziałabym, że standardowe. Zabawnie wtuliła głowę w ramiona.

— Iza...

— Mów mi Izabella, bo inaczej nie wiadomo o kogo chodzi.

— Wiadomo. Co ty sądzisz o życiu?

— Nic lepszego mi się nie przytrafiło. Chciałabym żyć do utraty tchu — zmarszczyła czoło. —

O ile, no wiesz, w mojej sytuacji będzie to możliwe.

— Pokażę ci coś.

Kazałam jej usiąść wygodnie jak w kinie i poszłam do pracowni po album ze zdjęciami. Miała do odrobienia jakieś trzydzieści lat życia.

Pokazałam jej mamę, „kiedy nie była jeszcze mamą. Ktoś zrobił jej zdjęcie jak siedzi w kucki i stara się objąć dwa wielkie siedzące jej po bokach psy. Pokazałam tatę wdrapującego się na suche drzewo w samych slipkach, choć na tym zdjęciu miał już pięćdziesiątkę i powinien być poważny. Pokazałam jej rodziców spacerujących razem po parku. Malutką Izę zbierającą mleczkę. Izę na huśtawce u dziadków. Z nimi, i z każdym osobna. Kolorowe zdjęcie Izy pozującej z małpką.

— Wtedy to zwierzątko cię podrapało — powiedziałam. I Izę na plamistym kucyku, przebraną za kowboja.

— Naprawdę ci się podobało.

Rany, ale ona potrafi się uśmiechać.

00.00.0000

Siedziałyśmy na wysypisku — Izabela i Izabella. Ostatnio zrobiłyśmy się sobie bardzo bliskie; jak siostry; albo coś odwrotnego...

— Podobało ci się? — Spytałam.

— Całkiem przyjemne, jak na drugi raz.

— Robiłaś to już kiedyś? — Uniosłam brwi.

— A coś ty myślała?! Że nie mam własnego życia?!

Roześmiałam się.

— Robert w niczym się nie zorientował? Nic go nie zdziwiło?

Pokręciła głową.

— Tylko jedno: powiedział, że jestem bardziej otwarta niż ostatnio.

Teraz ja pokiwałam głową:

— A oczy? Nie zauważył, że mają inny kolor?

— Co ty! Oczy miałam zamknięte.

— Przecież nie cały czas — uśmiechnęłam się krzywo.

— A co, myślisz, że wyskoczyły mi ze zdziwienia z orbit? To facet jak tysiące innych. Oni nie

pamiętają, jaki masz kolor włosów, a co wspominać o oczach!

— O, szybko się uczysz.

Wyjęła bułkę i zaczęła karmić podlatujące coraz bliżej gawrony. Chwytały ostrożnie i natychmiast odlatywały. Te odważniejsze lądowały na dłużej i dziwacznie kołysząc się na boki domagały się nowych kąsków.

— Ale wolę Adama.

— Co? — aż się podniosłam.

— To nie to, co myślisz... Kiedyś spotkał mnie na ulicy i musieliśmy porozmawiać. Brał mnie za ciebie. To już było po waszym rozstaniu.

— Co mu powiedziałaś? Cisza.

— Zresztą, teraz to twoja sprawa — ze zdumieniem powitałam słowa, które tak łatwo przeszły mi przez gardło. — Coraz lepiej malujesz. Odkryłaś pułapy, których ja się zawsze bałam. Jesteś taka niezwykle... jasna. Tak, to dobre słowo. Zupełnie inna.

— Jestem taka sama jak ty.

Bułka się skończyła, ale miałam drugą.

— Jesteś pewna, że chcesz to zrobić? — wzięła ją ode mnie.

— Biorę dla siebie to, co chcę, a tobie daję to, co ci jest potrzebne. Tak w ogóle, to mam już dosyć prozaca.

Popatrzyła na mnie uważnie.

— Tak, jestem pewna — odpowiedziałam na zadane wzrokiem pytanie. — Tylko będziesz musiała coś zrobić z tym dodatkowym „1”...

Najodważniejszy gawron przysiadł prawie przy jej stopie. Nosila moje buty. Nosila moje ubrania. Chciałam... Nie wiem, co chciałam.

— Pamiętaj, że nie uznaję eutanazji — popatrzyłam w niebo. Zbierało się na letni deszcz. — Chyba pora wracać. Idź, ja jeszcze pomyślę...

Podniosła się z przewróconej skrzynki i zniknęła mi z oczu. Gawrony też uciekły. Musiałam jeszcze posiedzieć sama ze sobą. Czasem ta nasza ostrożność, by nikt nie zorientował się jak jesteśmy podobne, wydawała mi się przesadzona. W końcu żyliśmy w świecie, w którym już nikt nie patrzył sobie prosto w twarz. A nielicznym dociekliwym (jak dozorca) wystarczyło: „siostra z zagranicy, na krótko”.

Wkrótce coś ważnego miało się zacząć, a coś skończyć, że użyję eufemistycznego zwrotu.

Siedziałam tam i byłam szczęśliwa. Czułam się wolna, spełniona i w harmonii ze światem — w harmonii, o której czytałam jedynie w książkach.

00.00.0000

Czy zaczęło się od tego, że rano, po nieprzespanej nocy, zobaczyłam w lustrze swoje brązowe oczy? Opuchnięte i przekrwione, ale brązowe. Zrobiłam to, co miliony obywateli robią na co dzień — patrzę w odbicie szukając potwierdzenia, że jeszcze są, że istnieją dla tego świata. Mają przypisane miejsce w wielkim Planie. Ja dopiero dzisiaj mogłam szczerze spojrzeć w lustro po raz pierwszy. Wcześniej nie mogłam zmienić faktu, iż byłam tylko kopią. Mogłam oszukiwać, kraść i podszywać się pod coś, co należało do kogoś innego — do Izabeli. Nie robiłam tego w złych zamiarach. To było silniejsze ode mnie: zyskać choć zdawkowe odpowiedzi na pytania: „kim jestem?”, „skąd przychodzę?”, „po co to wszystko?”. Na koniec ten niezwykle gest, kiedy zdecydowała się odejść i wpuścić mnie, Izabellę na swoje miejsce. To był największy dar jaki mi ofiarowano. Myślę, że ona też potraktowała to jako dar: pozwolono jej wreszcie odpocząć. I to odpocząć bez wyrzutów sumienia, bo dzięki mnie iluzja istnienia Izabeli nadal trwa.

Nie wiem, kiedy dokładnie umarła: w nocy czy nad ranem? Nie ośmieliłam się do niej zajrzeć. Cierpliwie czekałam, a ona w tym czasie zmanifestowała swoją wolną wolę. Zrobiła to świadomie, bez udziału prochów czy alkoholu. Weszła do ciepłej wody i podcięła sobie żyły. Musiała zrobić to pod wodą, dobrze zaostrzoną żyłką, by nawet kropla krwi nie ubrudziła pastelowych kafelków. Umierała w foliowym czepku na głowie, bo nie chciała pozostawić choćby jednego włoska. Nie było to misterium śmierci, lecz misterium życia i wiem, że był to gest przeznaczony dla mnie. Poprosiła jedynie, by z pokoju dobiegała „Wiosna” z „Czterech pór roku” Vivaldiego. Wiedziałam dokładnie co mam zrobić z ciałem: już wiele dni temu pokazała mi śmietniko z dymiącymi beczkami. Wystarczy trochę tej cieczy wlać do wanny i cierpliwie czekać. Mam czas, więc coś namaluję. Coś w jasnych barwach. Później pójde do mamy na ciastko i zadzwonię do redakcji *National Geographic*, by zapytać dokąd wysłali Adama.